

KAZIMIERZ WYBRANOWSKI

ROMAN DMOWSKI



DZIEDZICTWO

Kazimierz Wybranowski
(Roman Dmowski)

DZIEDZICTWO

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68384-38-3

Projekt okładki: Olga Bołdok

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

SPIS TREŚCI

[Rozdział 1](#)

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

[Rozdział 10](#)

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

[Rozdział 20](#)

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

[Rozdział 30](#)

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

[Rozdział 36](#)

[koniec książki](#)

Rozdział 1

Na stacji położonej obok powiatowego miasta, ruszało się kilku ludzi ze służby kolejowej w oczekiwaniu Północnego Ekspresu, który w drodze od granicy do Warszawy zatrzymał się tu dla nabrania wody. Niebo było pochmurne, szare, ostry wiatr wschodni podrywał garstki śniegu, leżącego w bruzdach zamarzniętej ziemi.

Jedyną nie należącą do służby osobą był przechodzący po peronie mężczyzna atletycznej budowy, barczysty, gruby w karku, z szeroką kanciastą twarzą, z małymi, głęboko osadzonymi oczami, które tej twarzy nadawały prawie dziki wyraz. Ubrany w przyzwoite palto z futrzanym kołnierzem i w futrzaną czapkę, mógł wyglądać na świeżo wzbogaconego chama, gdyby nie powściągliwość w ruchach i skromność w wyrazie twarzy, świadcząca o tresurze.

Rozległ się gwizd lokomotywy i pociąg zwolnionym pędem zajechał na stację.

Z paryskiego wagonu lekko wyskoczył wysoki, smukły mężczyzna w wykwinie skrojonym miejskim futrze, w miękkim, grubym kapeluszu, i zaczął się rozglądać po stacji. Z młodzieńczymi jego ruchami stanowiła kontrast blada twarz, zmęczona i oczy badawcze, przenikliwe a zarazem jakieś niezwykle stare. Przyglądająca mu się służba stacyjna zawyrokowała, że jest cudzoziemcem.

Oczekujący na peronie atleta szybko podszedł ku niemu, zdjął czapkę, wyprostował się i rzekł:

– Grzegorz, służący z Turowa.

– Mamy, zdaje się jechać prosto do kościoła? – zapytał przybysz po polsku, z niedostrzegalnym prawie akcentem cudzoziemskim, a jednocześnie wbił badawcze oczy w służącego, który musiał uderzyć go swym typem niezwykle.

– Tak jest, proszę pana – odrzekł Grzegorz, i wzięwszy z rąk konduktora dwie walizki, poprowadził gościa przez budynek stacyjny na drugą stronę.

Przy okazałej limuzynie stał szofer, chłop rosły, fizycznie dobrze rozwinięty, aczkolwiek znacznie lżejszej wagi od służącego.

– Szofer Marek – przedstawił Grzegorz i zabrał się do lokowania waliz we wnętrzu auta tak, żeby nie przeszkadzały podróżnemu. Ten mierzył okiem to służącego, to szofera; nie mogło też ująć jego uwagi, że obaj oni, acz ukradkiem, bacznie mu się przyglądają.

Grzegorz poprosił go, żeby zajął miejsce, okrył mu szczelnie nogi baranicą, proponował nawet wdżanie dachy, która w zamkniętym aucie nie była potrzebna.

– Wiatr jest mroźny – mówił – a mamy przed sobą przeszło półtorej godziny drogi.

Siadł koło szofera i ruszyli, rozwijając znaczną szybkość pomimo niezbyt równej drogi.

Podróżny przez chwilę patrzył w okna na roztaczającą się po obu stronach jednostajną, szarą równinę, po czym popadł w zadumę.

Jechał na pogrzeb człowieka, którego był synowcem, wychowawcą i spadkobiercą. Jechał prosto z Paryża, gdzie stale mieszkał. Ze względu na spadek będzie musiał jakiś czas pozostać w Polsce, której prawie nie znał, bo od trzynastego roku życia wychowywał się, a potem pracował zagranicą. Planów żadnych tymczasem nie robił – musiał przede wszystkim zorientować się w swym nowym położeniu. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że w życiu jego zachodzi przewrót – jak wielki tego jeszcze nie mógł przewidzieć.

Stryja swego widywał rzadko i znał mało; spodziewał się teraz więcej o nim dowiedzieć. Postanowił dokładnie notować sobie wszystko, co by mogło mu rzucić jakiegokolwiek światło na tę postać, pod wielu względami dotychczas dla niego niezrozumiałą. Na wstępie zwrócili jego uwagę ci oto dwaj ludzie, których wygląd świadczył, że stryj jego lubił dobierać sobie do służby atletów. Czy to było tylko upodobanie?...

Obudził się z zamyślenia, gdy szofer zaświecił reflektory. Zapadła wczesna noc zimowa, noc czarna, bezgwiezdna. Przed oczyma przesuwali się tylko silnie oświetlone pnie

drzew przydrożnych. Spojrzał na zegarek, minęła już godzina jazdy. Za pół godziny pogrzeb. Znajdzie się wśród nowych, nieznanych ludzi, wobec których będzie jedynym przedstawicielem zmarłego. Prawdopodobnie będą tam sąsiedzi i niezawodnie liczni znajomi ze stolicy: stryj musiał być człowiekiem ustosunkowanym. Nie znał miejscowych zwyczajów i nie bardzo wiedział, jak się trzeba zachować. Na szczęście będzie tam adwokat stryja Osiecki, który zajął się pogrzebem i w obszernym telegramie do Paryża zawiadomił go, jak ma na pogrzeb zdążyć. Ten mu udzieli wszelkich potrzebnych wskazówek.

Szofer dał parokrotny przeciągły sygnał. Wreszcie po dłuższej chwili auto stanęło. Grzegorz szybko wyskoczył, i otwórzszy drzwiczki, pomógł przybyszowi wysiąść.

Panowały nieprzeniknione ciemności. Tylko o jakieś dwadzieścia kroków widać było otwarte drzwi kościelne, z których płynęła smuga słabego światła aż do auta. W tym świetle stał tuż przed nim ubrany w grube futro mężczyzna średniego wzrostu, dość otyły, z krótko przystrzyżonymi, jasnymi włosami, z twarzą przeciętnie inteligentną, na której wyrażał się stosowny do chwili urzędowy smutek i powaga. Wyciągnął rękę do przybysza ze słowami:

– Jestem Osiecki. Czekałszy tylko na pana. Chodźmy do kościoła.

Po kilku słowach formalnego podziękowania adwokatowi za zajęcie się pogrzebem, przybysz ruszył z nim do wejścia do kościoła przez szpaler chłopów i bab, zgromadzonych na cmentarzu kościelnym.

Weszli, a za nimi cisnęli się ludzie z cmentarza.

Na środku małego kościółka wiejskiego stał niewysoki katafalk, ubrany w zieleń świerkową, wśród której parę dziesiątków świec się jarzyło. Na katafalku spoczywała wielka, czarna trumna z krzyżem i obramowaniami z białej blachy, skromna trumna drewniana.

Przybysz przykląkł przed trumną, po czym stanął i zaczął rozglądać się wokoło. Obok niego stał adwokat a za nim jakiś mały, szczupły człowieczek, siwy z krótko przystrzyżoną bródką, w okularach, z wychudłą zmęczoną twarzą. Dalej paru ludzi, wyglądających na oficjalistów i służbę. Poza tym z półtorej setki chłopów, przywiedzionych prawdopodobnie ciekawością.

– Więc to tak wygląda pogrzeb stryja? – myślał przybyły z Paryża synowiec. Dlaczego taki ubogi? i czyż nie ma na świecie ludzi, którzy by mu chcieli towarzyszyć do grobu?... Nie mógł w żaden sposób zrozumieć, co to wszystko znaczy...

Ukazał się ksiądz w czarnej kapie z organistą u boku i rozpoczął odśpiewywanie egzekwii.

Oczy garści ludzi, zgromadzonych w kościele, spoczywały na przybyszu: nie było w nich ani smutku, ani współczucia, ani nawet przejęcia się obrzędem: było tylko zwyczajne, ordynarne zaciekawienie wobec zagranicznego dziwoląga, który na tym tle był istotnie niezwykłym zjawiskiem.

On sam w owej chwili przywoływał sobie postać zmarłego stryja, człowieka zamożnego, wykwintnego, zachowującego się wszędzie na świecie, jak u siebie, i zestawiał swe wspomnienia z tym, co widział teraz przed sobą. Jakiż kontrast! Jakże to bezdennie smutne!...

Stał, górując nad otoczeniem dużą głową, na której lśniły ciemne, gładko w tył zaczesane włosy, z wysokim i szerokim czołem, przeciętym, dwiema prostopadłymi bruzdami, z dużym prostym nosem, z suchą starannie wygoloną twarzą. Spod mocnych, prostych brwi, patrzył szarymi, głęboko osadzonymi oczami na to, co go otaczało. Oczy te były zimne, obojętne, jakby trzymały w odległości ludzi, choć nie odpędzały ich, ale raczej przykuwały do miejsca...

Adwokat Osiecki, który co chwila rzucał na niego, ukradkiem spojrzenia, mówił sobie, że takie oczy i takie cienkie zaciśnięte usta powinien mieć sędzia, ażeby sprawiać wrażenie nieubłaganej, nie kierującej się żadnym uczuciem sprawiedliwości i logiki.

Ksiądz skończył egzekwie, zaczęto odstawiać świece i świerczynę. Grzegorz i trzej inni ludzie, widocznie ze służby, wzięli trumnę na barki i ponieśli ją za księdzem.

Przed kościołem czekało sześciu ludzi z pochodniami, przy których słabym świetle pochód ruszył w drogę. Ta garstka, przedzierająca się z trumną przez ciemności nocne, sprawiała jakieś niesamowite wrażenie: wyglądało to tak, jakby grzebano kogoś ukradkiem, z dala od oczu ciekawego świata.

Kościół stał na krańcu wsi, a blisko niego, tuż za wsią leżał mały cmentarzyk. Na cmentarzu czekał dół wyrąbany w zmarzłej ziemi. Ustawiono nad nim trumnę, a ksiądz cichym, jakby zdławionym głosem odśpiewał rozdzierające melodie obrzędu pogrzebowego.

Trumnę opuszczono w dół i rozległ się głuchy łoskot spadających na nią grud ziemi.

Jedyny przedstawiciel rodziny zmarłego stał nad dołem z pozornym spokojem, ale z poczuciem, że się dzieje coś sprzecznego z normalnym porządkiem rzeczy, coś niezrozumiałego, coś niewytłumaczonego. Naprzeciw niego stał Grzegorz.

Oczy atlety, patrzące nieruchomo w przestrzeń, miały jakiś straszny, morderczy wyraz. Gdy trumnę opuszczono w dół, oczy te za nią podążyły: jednej chwili dzika twarz zmiękła, a spod powiek popłynęły grube łzy, w których zamigotał blask pochodni. Obserwujący Grzegorza synowiec zmarłego poczuł w tej chwili dla niego wdzięczność: te łzy były jedynym uświetnieniem przygnębiającego obrzędu. Ale zachowanie się służącego nad grobem zaniepokoiło go i zwiększało zagadkę tego pogrzebu.

Mowy pogrzebowej nie było.

Przy świetle dogasających pochodni organista zdjął z księdza kapę i ściągnął komżę, gdy Osiecki podszedł do niego z synowcem zmarłego i przedstawił: Pan Zbigniew Twardowski, nowy dziedzic Turowa, ksiądz Rybarzewski, proboszcz tutejszy i przyjaciel ś.p. stryja pańskiego.

Uścisnęli sobie dłonie. Ksiądz ciekawie się przypatrywał niezwykleму wyglądem człowiekowi, który mu ceremonialnie dziękował za smutny obrzęd.

Podszedł mały człowieczek z siwą bródką. Adwokat przedstawił go Twardowskiemu jako doktora Zemłę, który leczył zmarłego.

– Ja tylko byłem pod ręką – prostował doktor – i służyłem w razie potrzeby. Ś.p. stryj pański leczył się u największych powag europejskich. Niestety, na jego serce nie było rady. Chwała Bogu, śmierć miał lekką.

– Tak, śmierć miał lekką – rzekł ksiądz, kładąc nacisk na pierwszy wyraz zdania. Miał jakby coś dalej mówić, ale nagle urwał.

Twardowski bystro na niego spojrział. Ksiądz pod tym wzrokiem uczuł widocznie potrzebę powiedzenia czegoś, ale dorzucił tylko:

– Ma już spokój...

Synowiec zmarłego obserwował dalej księdza. Był to człowiek lat pięćdziesięciu, silnej budowy, prosty w zachowaniu się, z twarzą dość grubą, ale sympatyczną: w jego dużych jasnych oczach widać było pewną głębię i myśli i uczucia.

Ksiądz nagle przybrał swobodny wyraz twarzy i zaproponował wszystkim trzem, by wstąpili na plebanie rozgrzać się szklanką herbaty. Adwokat pośpieszył z odpowiedzią:

– Jak panowie wiedzą pan Twardowski przyjechał na pogrzeb prosto z Paryża, jest niezawodnie zmęczony. Ja zaś jeszcze dziś chciałbym pomówić z nim o interesach i odjechać na noc do Warszawy, gdzie od wczesnego rana mam zajęcia.

Zostawili księdza z doktorem, sami zaś wsiedli do limuzyny, czekającej przed cmentarzem. Grzegorz zajął swe miejsce przy szoferze.

Jechali w milczeniu. Twardowskiemu brzmiały jeszcze w uszach słowa księdza, w których także tkwiła zagadka, i stał mu przed oczyma ten dziwny w swym ubóstwie, rozpaczliwy w smutku pogrzeb, pogrzeb jakby skazańca. Ksiądz, adwokat, doktor, trochę służby i garstka ciekawego ludu...

Osiecki, jakby odgadując jego myśli, przerwał milczenie.

– Pogrzeb odbył się ściśle według rozkazu zmarłego: zwyczajny dół w ziemi na parafialnym cmentarzu, prosta drewniana trumna, jeden ksiądz, proboszcz miejscowy, żadnych mów, żadnych zaproszeń czy zawiadomień, żadnych nekrologów, ani nawet najmniejszych wzmianek w gazetach. Jakby chciał opuścić ten świat niepostrzeżenie, nie zwracając niczyjej uwagi.

Twardowski nie odpowiedział. Szukał, jaka myśl podyktowała tę wolę... Szukał na próżno.

Szofer skręcił w wąską drogę, wysadzoną drzewami, i dał przeciągły sygnał. W świetle latarni ukazał się wysoki trzymetrowy mur z czerwonej cegły. Kiedy samochód podjeżdżał, jakieś ręce rozwierały ciężkie, z grubego drzewa, mocno okute żelazem wrota, które za samochodem wnet się zatrzasnęły.

– Dziwny rygor – rzekł do siebie Twardowski.

Zatoczywszy wielkie półkole, stanęli przed domem. Lampa elektryczna, oświetlająca z góry wejście, ukazywała wysmukłe kolumny z szarego piaskowca, tworzące zgrabny portyk.

Z otwartych drzwi wybiegł służący, który pomógł im wysiąść i wprowadziwszy do obszernego przedpokoju, zdjął z nich futra. Grzegorz znikł niepostrzeżenie.

Wnet otworzyły się drzwi do wielkiego, dobrze oświetlonego hallu – dom był widocznie zbudowany po angielsku – ze schodami, prowadzącymi na górę. W ogromnym kominku paliły się z trzaskiem całe szczapy sosnowe.

Na środku stał ubrany w czarny surdut Grzegorz, trzymając w ręku tacę z bochenkiem chleba i solniczką. Skłonił się nisko w milczeniu i podał tacę Twardowskiemu, starym zwyczajem witając nowego pana chlebem i solą.

Twardowski podziękował. Kiedy stawiał tacę na stole, wzrok jego padł na stojącego przy drzwiach dużego psa, rasowego wilka, który się lekko najeżył, warcząc z cicha. Lubił widocznie psy i znał się na nich, bo stał wpatrzony w piękne zwierzę.

– Jak się nazywa? – spytał Grzegorza.

– Piorun.

– Piorun! – powtórzył głośno Twardowski.

Pies ruszył z miejsca powoli, nieśmiało. Zbliżył się do niego, wężąc ostrożnie. Naraz zaskomlał radośnie, stanął na tylnych łapach, przednie oparł o piersi Twardowskiego i wyciągnął mordę ku jego twarzy. Gdy nowy pan zaczął go głaskać, przytulił głowę do jego piersi.

Grzegorz stał osłupiały, z otwartymi ustami.

– Nie rozumiem, proszę jaśnie pana, co się stało. Ten pies nie da do siebie dostąpić nikomu obcemu. Chyba mądry, zrozumiał, że to teraz jego pan.

Twardowski dalej głaskał psa.

– Tyś wcale nie taki mądry, jak Grzegorz myśli – śmiejąc się mówił do zwierzęcia – tylko ty masz nos. Zwęszyłeś swego prawda?...

Grzegorz kręcił głową: widocznie mówił sobie, że nowy dziedzic ma jakiś tajemniczy sposób zaprzyjaźniania się z psami. Patrzył na Twardowskiego z podziwem i trochę z obawą.

Osiecki, który się przyglądał tej scenie z boku, zauważył sceptycznie:

– Nie musi to taki być zły pies, jak Grzegorz mówi.

– Niech pan podejdzie – rzekł Twardowski.

Adwokat powoli się zbliżył. Pies nagle najeżył się, warknął groźnie i wystawił nań otwartą paszczę, w białe kły uzbrojoną. Adwokat się cofnął, a pies warknął drugi raz mocniej i chciał się rzucić za nim, gdy Twardowski krzyknął ostro:

– Piorun!

Pies natychmiast złagodniał i przypadł mu do nóg pokornie, tylko jeszcze warczał z cicha przez chwilę, zanim się całkowicie uspokoił.

– Dobry pies – rzekł Twardowski. – On jest już mój.
 Nachylił się nad Piorunem, głaszcząc go po karku.
 Grzegorz patrzył na niego z coraz większym podziwem, adwokat zaś miał minę zmieszaną wobec niezrozumiałego zjawiska.
 – Pański stryj – rzekł – był dziwny człowiek, ale pan jest jeszcze dziwniejszy.
 Twardowski uśmiechnął się, rozumiejąc, że rozsądny prawnik ma go trochę za wariata.
 – No, panie mecenasie – rzekł – tu, przy tym kominku będzie nam dobrze. Usiądźmy i pomówmy, zanim nam jeść dadzą.
 – Obiad może być za godzinę – poinformował Grzegorz.
 – Dobrze – rzekł Twardowski. – Panu się bardzo śpieszy?
 – Chciałbym wyjechać za półtorej godziny – rzekł Osiecki. – Czy mógłby mi pan dać samochód do Warszawy?
 To pytanie zorientowało Twardowskiego, że on tu jest gospodarzem i że to jego samochód.
 Zwrócił się do Grzegorza:
 – Powiedz szoferowi, żeby czekał przed domem za półtorej godziny, i pośpieszcie się z obiadem. A przedtem przynieś nam tu wermut.
 – Słucham jaśnie pana.
 Osiecki stwierdził, że dziwak z Paryża bez wahań wchodzi w rolę pana domu na wsi polskiej.
 Usiedli w głębokich fotelach, wyciągając nogi ku kominkowi. Piorun ułożył się u stóp nowego pana. Już nie warczał na mecenasa, tylko spojrzeniem go zapewniał, że lepiej się nie zbliżać.
 W domu panowała cisza, którą zakłócał tylko trzask palącego się na kominku drzewa.

Rozdział 2

– Jak panu telegrafowałem – mówił adwokat – stryj zostawił cały majątek panu.
 – Jest niezawodnie testament?
 – Nie, nie ma. Wiedział kiedy umrze, i na krótko przed śmiercią wszystko zostało na pana przepisane. Oszczędza to panu kłopotów spadkobrania. Miałem też wrażenie, iż chciał, ażeby pan wszedł w posiadanie majątku bez rozgłosu.
 – Dlaczego?
 – Nie wiem. Wszystkie papiery znajdują się w mej kancelarii w Warszawie i są do pańskiego rozporządzenia. Spodziewam się wkrótce pana widzieć u siebie.
 – W tych dniach – rzekł Twardowski – wybieram się do Warszawy.
 – Majątek pański – mówił dalej Osiecki – składa się z następujących pozycji: przede wszystkim Turów. Jest to posiadłość niewielka – dwadzieścia parę włók, ale ślicznie zagospodarowana; jak pan widzi dom jest piękny; zbudowano go przed dwudziestu laty. Odległość od Warszawy autem niecałe dwie godziny. Następnie, dom w Warszawie, a w nim wygodnie i ładnie urządzone mieszkanie. Stryj pański mówił mi, że pan je zna, gdyż leżał pan tam ranny w czasie najazdu bolszewickiego. Wreszcie główny majątek stanowią kapitały, ulokowane wszystkie w bankach francuskich i angielskich. W przeliczeniu na naszą walutę wynoszą one około sześciu milionów złotych. Wszystko to dziś jest złożone na pańskie imię.
 – Nie sądziłem, że to taka duża suma – wtrącił spadkobierca tonem prawie obojętnym.
 – Stryj pański był pierwszorzędnym finansistą. Zlikwidowawszy przed siedemnastu laty swe interesy, polokował kapitały tak, że podczas wielkiej wojny nic nie stracił, a choć żył na wysoką stopę, to jednak wydawał tylko część dochodu i majątek rósł z procentów. Jest

więc pan człowiekiem zamożnym, z majątkiem którego administracja nie zabierze panu wiele czasu.

– Tak – rzekł sucho Twardowski – Czy stryj nie zostawił dla mnie żadnych poleceń?

– Tylko to – odrzekł adwokat, wyciągając z kieszeni i podając mu niewielką kopertę, zapieczętowaną czerwonym lakiem.

Twardowski przeczytał swe imię i nazwisko, wypisane ręką zmarłego stryja, obejrzał pieczęć z rodzinnym herbem i otworzył kopertę.

W środku była tylko pożółkła kartka papieru z wypisaną na maszynie wskazówką, jak otwierać kasę ogniotrwałą. Nic więcej.

– Może w kasie jest jakie pismo dla mnie? – zapytał.

– Na pewno nie ma. Przed śmiercią stryj pański pokazał mi jej zawartość: podręczna gotówka, trochę kosztowności, wreszcie klucze od szaf i szuflad.

Z wyrazem zawodu na twarzy Twardowski zamilkł na chwilę, po czym przeszedł na inny przedmiot.

– Stryj mój miał niezawodnie duże stosunki w kraju?

– Niegdyś tak. Jeszcze niespełna dwadzieścia lat temu pan Alfred Twardowski był w Warszawie znaną i popularną osobistością. Od chwili wszakże zlikwidowania swych interesów zerwał wszelkie stosunki: nigdzie nie bywał, nikogo nie przyjmował. Proboszcz, doktor i ja byliśmy jedynymi ludźmi, których widywał u siebie.

– Czy wie pan dlaczego?

– Nie wiem.

– Kiedy pan został jego adwokatem?

– W roku 1911.

– Przedtem go pan znał?

– Nie, ale wiele o nim słyszałem. Miał reputację człowieka mądrego, przedsiębiorczego, a jednocześnie bardzo honorowego. Mówiono o nim tylko dobrze. Widocznie atoli zrobił sobie potężnych wrogów, gdyż w krótkim czasie stanowisko jego się popsuło. Jako jego adwokat mogłem stwierdzić, że nie było do tego żadnych podstaw. Wątpię, aby w świecie przemysłu i finansów można było znaleźć bardziej prawego człowieka.

– Cóż mu zarzucano?

– Do mnie nic określonego nie dochodziło. Wiedziałem tylko, że otacza go jakaś atmosfera niechęci. Może to właśnie wpłynęło na wycofanie się jego z interesów. Zresztą miał dosyć pieniędzy, a że był nieżonaty i bezdzietny, nie miał bodźca do robienia ich więcej.

Twardowski posępnie się zamyślił. Rozmowa z adwokatem utwierdziła go w przekonaniu, że w przeszłości stryja tkwiła jakaś wielka zagadka, ale mu nie dała klucza do jej rozwiązania. Ta zagadka już go zaczęła dręczyć: w ostatnich latach bardzo zbliżył się ze stryjem – tyle mu zawdzięczał. Z tą zagadką wreszcie mogło się wiązać pochodzenie majątku, który obecnie dziedziczył. Majątek to był niespodziewanie wielki. Twardowski widział w swym życiu bogaczy, posiadających fortuny, wobec których jego kilka milionów były drobiazgiem. Ale te fortuny były uwięzione w rozmaitych przedsięwzięciach i nakładały na ich właścicieli zobowiązania, które czyniły ich niewolnikami posiadanego bogactwa. Tymczasem on, człowiek o skromnych potrzebach materialnych, wolny, bez żadnych obowiązków względem kogokolwiek, dostał znaczne pieniądze, z którymi może robić, co mu się podoba. Uważał więc siebie za bogatszego od tamtych. Jego pieniądze mogą się stać wielką siłą, o ile użyje ich umiejętnie. To może być bardzo ciekawe...

Nowa myśl przemknęła mu przez głowę.

– Czy ktokolwiek poza panem wie, jaki majątek stryj pozostawił? – zapytał adwokata.

– Na pewno nikt. Wiedzieć będą, ma się rozumieć o Turowie i o domu w Warszawie. Kapitały wszakże mógł wszystkie stracić, jak wielu innych podczas wojny.

– Więc i dalej nikt nie będzie wiedział i nie będzie się ich domyślał, dobrze?
Adwokat, nieco zdziwiony, kiwnął głową na znak, że rozumie.
Wszedł Grzegorz, wnosząc na tacy wermut i wódkę z zakąskami. Osiecki napił się wódki i zabrał się do zakąsek, Twardowski poprzestał na kieliszku wermutu.
– Długo pan zabawi w Polsce? – zapytał adwokat.
– Nie robiłem jeszcze żadnych planów. Dziś myślę, że nie wrócę do Paryża, dopóki...
– Dopóki? – zapytał Osiecki, widząc, że gospodarz urwał nagle.
– Dopóki nie zorientuję się w nowym położeniu – odparł wymijająco.
Przeszli do sali jadalnej, dużej, kosztownie i ze smakiem umeblowanej. Na środku jej stał mały okrągły stół z dwoma nakryciami.
– Najlepsze świadectwo – rzekł Osiecki, wskazując na stół – że przyjąć w tym domu nie bywało.
– Jeszcze przed wielką wojną – rzekł Grzegorz – duży stół owinęliśmy słomą i wynieśli na górę.
Przez cały obiad prawie wyłącznie mówił Osiecki – o polityce, o stosunkach warszawskich, o różnicach między ludźmi dzisiejszymi a przedwojennymi. Twardowski słuchał z zainteresowaniem, od czasu do czasu wtrącając krótkie, lakoniczne zdanie.
Wypili kawę przy stole ze względu na pośpiech adwokata.
Odprowadziwszy gościa do czekającego przed domem auta, Twardowski zatrzymał się w hallu i stał, grzejąc się, przy kominku, gdy podszedł do niego Grzegorz.
Przygotowałem pokój nieboszczyka pana. Ale gdyby pan nie chciał, jest gotowy pokój gościnny.
Twardowski zauważył, że służący, zostawszy z nim sam na sam, stracił uroczystą sztywność i przestał go tytułować „jaśnie panem”. Widocznie był to zwyczaj domu.
– Zamieszkam od razu w pokoju stryja – rzekł po krótkim zastanowieniu.
– Tak mi się zdawało – odrzekł służący. – Pewnie pan zmęczony i nie będzie teraz domu oglądał, może to lepiej jutro po dniu zrobić. Chciałbym tylko panu pokazać bibliotekę, gdzie nieboszczyk pan najwięcej przesiadywał i gdzie oddał Bogu ducha.
– Chodźmy.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI